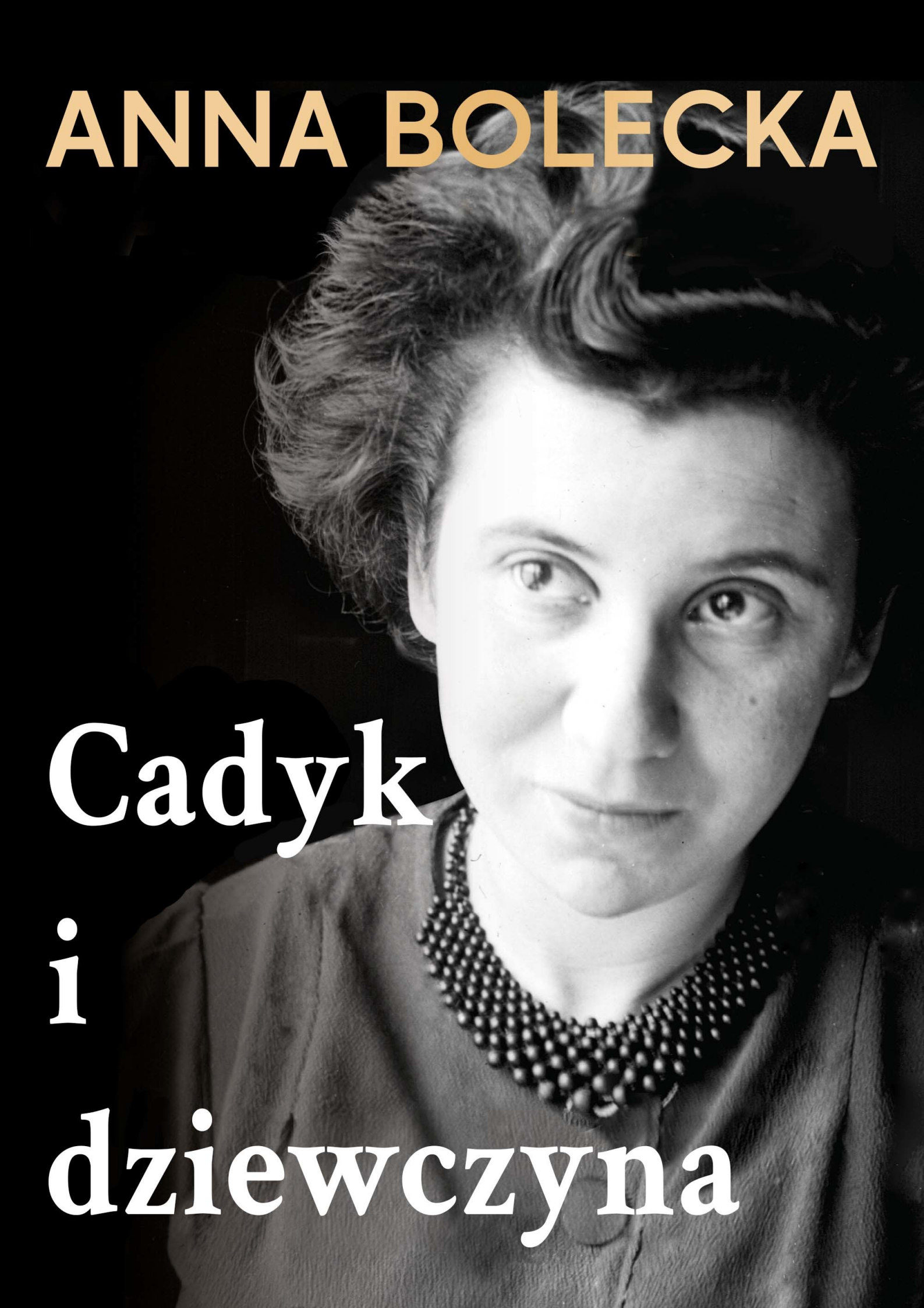


A black and white portrait of a woman with short, dark, wavy hair, looking directly at the camera with a slight smile. She is wearing a dark, textured top and a multi-strand necklace of small, dark beads. The background is dark and out of focus.

ANNA BOLECKA

Cadyk

i

dziewczyna

Anna Bolecka

CADYK I DZIEWCZYNA

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2025

ISBN: 978-83-68384-75-8

Zdjęcie na okładce: Etta Hillesum

E-book zgodny z Europejskim Aktem Dostępności EAA

Pamięci Etty Hillesum

* * *

„To jedno – być razem, być razem,
nic więcej nie ma na ziemi...”

Zofia Nałkowska, Dzienniki,
20 października 1943

* * *

Rozdział pierwszy

Następnego dnia był piątek. O świcie obudziły Polę Rubin dalekie huki. Leżała jeszcze godzinę, po czym wstała, zarzuciła sukienkę na gołe ciało i wyszła na ganek. Niebo zasnuła lekka mgła. Z zakamarków ogrodu wypływał nocny chłód. Jakiś ptak odzywał się rytmicznie wysokim głosem. Zapowiadał się piękny dzień. W domu panowała cisza. Zawołała na służącą, ale ta nie odpowiedziała. Pola weszła do kuchni. Wyglądało tak, jakby dziewczyna nagle porzuciła swoje zajęcia i wybiegła w pośpiechu. Na kuchennym stole leżał chleb, masło, stał dzbanek z gorącym mlekiem, w kamionkowej miseczce – twaróg. Pola usiadła i zaczęła smarować kromkę masłem. W sieni trzasnęły drzwi i do kuchni wpadła służąca.

– Gdzie byłaś? – Pola odwróciła głowę.

Policzki dziewczyny płonęły, spod zsuniętej chustki wymykały się kosmyki włosów.

– Panienko! – krzyknęła i zanosła się płaczem. – Ja już nie wrócę na wieś. Nie puszczą!

– Dlaczego? Mówże wreszcie! – Pola podniosła głos, bo dziewczyna nie mogła wydusić z siebie ani słowa.

– Wojna!

Pola zerwała się z miejsca. Krzesło poleciało w tył.

– Skąd wiesz?!

– Ludzie mówili. Nadleciały samoloty. Myśleli, że to nasi, że to ćwiczenia, jak przedtem. Nawet machali do nich. A oni zaczęli strzelać. Tam bomby lecą.

Pola nie słuchała dalej.

– Zostań tutaj – nakazała dziewczynie. – Niedługo wrócę. Nie bój się, Kaziu – dodała, widząc jej szeroko otwarte, przerażone oczy.

Tak jak stała, w rannych pantoflach, wybiegła z domu. Uliczką szli szybko jacyś mężczyźni. Przebiegając obok nich, krzyknęła: „Czy to prawda?”. Skinęli głowami. Nie spotkała już nikogo. Zatrzymała się dopiero przed sanatorium.

Pokój Steina był zamknięty. Przebiegając korytarzem, pytała o niego. Nikt nie wiedział, gdzie jest. Wreszcie jedna z opiekunek poradziła jej, żeby poszła do szpitala. Znalazła go w sali noworodków. Wyszedł do niej i przycisnął mocno do siebie. Stali tak chwilę bez słowa.

– Jestem sama. Moi wyjechali. Czy na Warszawę zrzucają bomby? Oni tam są. Nie wiem, co robić.

– Na razie nic. Możesz spróbować zadzwonić. Telefony działają.

– Co z nami będzie? – spytała.

– Będziemy razem.

– A jeśli nas wojna rozdzieli?

– Posłuchaj! Nasz czas właśnie się zaczął.

Spojrzała na niego uważnie. Stał z ledwie widocznym uśmiechem na twarzy. Jego mocna sylwetka przypominała drzewo, które nie podda się wichurze. Tak jej się przynajmniej

zdawało. Zanim zbiegła po schodach, obejrzała się po raz ostatni.

W domu zastała Kazię, już nieco uspokojoną. Siedziała przy stole i jadła. Pola nie czuła głodu. Stanęła obok i położyła rękę na ramieniu dziewczyny.

– Teraz, Kaziu, jesteśmy tylko we dwie. O swoją rodzinę nie musisz się na razie niepokoić. A ja... – I rozplakała się.

– Panienka napije się herbaty. – Kazia poderwała się z krzesła. – Ja zaraz idę do miasta. Trzeba nakupować mąki, cukru, soli. Aha, i świec.

Pola zapłakanymi oczami patrzyła, jak dziewczyna wiąże chustkę pod brodą, bierze wielki kosz i wyciąga do niej rękę. Prawie bezwiednie dała jej dwadzieścia złotych i dopiero kiedy służąca wyszła, uśmiechnęła się na myśl, że w tak prosty sposób można zapanować nad paniką. Myśleć o życiu, nie o śmierci.

W ciągu następnych trzech dni nadeszły nie tylko złe wieści o zabitych na okolicznych polach i drogach, ale też o zniszczeniach w samym Otwocku. Bomba uszkodziła sanatorium, w którym pracował Stein. Ludzie opowiadali, że większość personelu i dzieci zginęła. Pola, śmiertelnie przerażona, wybiegła z domu. Szła przez las, z trudem powstrzymując płacz. Nie opuszczała jej nadzieja, że Stein żyje. Budynek nie był tak zniszczony, jak mówiono. Wewnątrz nie odnalazła Steina. Nie odpowiadano na jej gorączkowe pytania. Wreszcie dowiedziała się, że nikt nie zginął, ale kilkoro dzieci zostało rannych. Nie tracąc czasu, zawróciła w stronę miasta.

W powietrzu unosił się zapach spalenizny. Na gałęziach drzew wisały płachty papieru, jakieś szmaty. Było sucho, gorąco, wiatr unosił tumany drobnutkiego piasku. Rynek opustoszał. Znikły chłopskie furmanki, nie było straganów i przekupek, rozkładających zwykle na bruku swoje ubogie towary. Nie było plotkujących kobiet stojących pod sklepem. Przed piekarnią zauważyła kolejkę milczących postaci. Nagle z bocznej uliczki wyszedł Stein. Zaskoczona, zatrzymała się. Szedł wprost ku niej. Zauważył ją i wydawał się równie zdziwiony jak ona.

– Myślałem o tobie – powiedział.

– Słyszałam o dzieciach.

– Tak. Są też ciężko ranne. Uratujemy je.

– Nie wiem, co się dzieje z moją rodziną. Nie mam żadnych wiadomości. Muszę się dostać do Warszawy.

– Nie możesz! Tam trwają naloty. Na drogach podobno mnóstwo ludzi i pojazdów. Uciekają na wschód. Proszę, na razie nic nie rób.

– Muszę wiedzieć, czy oni żyją.

– Rozumiem, ale... – Chwycił ją za rękę. – Idź ze mną.

W jego głosie zabrzmiało coś, co kazało jej pójść bez sprzeciwu. Prowadził ją do swojego mieszkania. Kiedy stanęli pośrodku pokoju, objął ją i odwrócił twarzą do siebie.

– Chciałbym ci coś zaproponować – powiedział. – Nie dziw się i wysłuchaj mnie z największą powagą, na jaką cię stać.

Zmarszczyła brwi, lekko zaniepokojona. Uśmiechnął się, dodając jej, a może sobie samemu, otuchy.

– Pobierzmy się. Jesteś inteligentna i pojętna, a ja... mam trochę doświadczenia. Będziemy się wspierać w tych czasach... w tych czasach... – zająknął się.

Milczała chwilę, zaskoczona, próbując opanować ogarniający ją lęk.

– Co z twoją narzeczoną? Tam, w Amsterdamie?

– Umówiliśmy się, że jeśli nie wrócę, nie będzie na mnie czekała. – Milczał chwilę. – Ja już nie wrócę – powiedział nagle i stanowczo.

– Nawet gdybym chciał. Nie pozwolą mi.

– Nie myślałam dotąd o małżeństwie.

– Pomyśl.

– Między nami jest różnica wieku. – Czuła, że jej argumenty brzmią blado, wręcz śmiesznie, w obliczu tego, co działo się wokół.

– Tak. Przeszło dwadzieścia lat. To dużo – stwierdził. – Ale kto zaręczy, że twoja dusza nie jest starsza od mojej?

Uśmiechnęła się.

– Nie musimy dziś o tym decydować, prawda?

– Nie, nie musimy.

Chwyciła jego rękę i podniosła do twarzy.

– Pamiętam, co powiedziałeś. Nasz czas dopiero się zaczął.

Jednak postanowiła jechać do Warszawy. Całe popołudnie zносиły z Kazią do piwnicy co cenniejsze rzeczy. Drzwi do spiżarni, w której stały słoiki z przetworami, worek mąki i cukru, kosze ziemniaków, zastawiły starym kredensem. Kilka słoików dżemu z renkłod miało odciągnąć uwagę ewentualnych rabusiów. O wszystkim decydowała Kazia, po pierwszym szoku już spokojna i praktyczna. Dziewczyna zdecydowała się iść razem z falą uciekinierów, zdążających na wschód, gdzie były jej rodzinne strony. Radziła Poli pójść razem z nią. Polę ogarnęła jednak niedająca już spokoju myśl, że musi dostać się do bombardowanego miasta. Coś pchało ją tam i z trudem opanowała potrzebę wyruszenia natychmiast. Starannie spakowała plecak, z żalem odkładając rzeczy, które mogłyby jej w drodze zbyt ciążyć. Spod upartej pewności, że jeszcze tu wróci, wypełzał strach przed przyszłością.

W zapadających coraz szybciej ciemnościach kończącego się lata wyszła do ogrodu. Cicho zagwizdała. Z mroku wyłoniła się drobna postać.

– Podobno jedziesz do Warszawy – powiedziała dziewczyna po drugiej stronie parkanu.

– Czy pojadę, to bardzo wątpliwe. Raczej trzeba będzie iść. Może zabiorę się z kimś po drodze.

– Współczuję ci. Zostałaś całkiem sama. My przynajmniej wciąż jesteśmy razem. –

Chawa Muszka, córka chasyda, wyciągnęła rękę. Jej dłoń była zimna.

– Nie będziecie tu bezpieczni, jeżeli... – zaczęła Pola i urwała.

– Myślisz, że grozi nam coś więcej niż innym?

– Nie wiem. – Nagle poczuła, że nie może powiedzieć Muszce: Jeżeli przegramy, jeżeli wejdą tu hitlerowcy, wszyscy będziemy zagrożeni, ale Żydzi znajdą się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. – Pamiętaj, jeśli będziesz potrzebowała pomocy, idź do Jakuba Steina.

– To ten twój przyjaciel?

– Tak – powiedziała.

W gęstniejącym mroku twarz Muszki połyskiwała, jakby pociągnięto ją cienką warstwą złota. Jej włosy pachniały czymś gorzkim. Oczy dziewczyny tajemniczo spoglądały w ciemność zapadającej nocy.

– Muszko, czy ty nigdy nie chciałaś wyjść za mąż? – spytała nieoczekiwanie Pola.

Dziewczyna, zaskoczona, milczała chwilę.

– Bóg, jak dotąd, nie zesłał mi mężczyzny – powiedziała.

– Bóg?

Z głębi domu Rebe Icchaka rozległo się wołanie. Muszka, odchodząc, odwróciła się jeszcze.

– Więc jednak wojna – powiedziała.

– Tak, wojna. A przecież ja się właśnie zakochałam.

* * *

Wyszła z domu przed świtem. Na dworcu koczowali ludzie. Wyglądali na zdesperowanych. Dowiedziała się, że czekają drugą dobę, ale bez wielkiej nadziei. Ruszyła w kierunku szosy. Z daleka już słyszała szum i dudnienie, jakby gdzieś przelewała się ogromna

niepowstrzymana fala. Szosą, jak okiem sięgnąć, szli ludzie, między nimi przepychały się furmanki i bryczki. Wiele osób prowadziło obładowane tobołami rowery.

Zaczęła iść w przeciwnym kierunku. Jednak ludzie spychali ją wciąż na pobocze. Pomyślała, że lepiej było wybrać drogę przez lasy, wprawdzie dłuższą, ale być może spokojniejszą. Posuwała się wolno, bez odpoczynku. Im dalej od Otwocka, a bliżej Warszawy, tym tłum stawał się gęstszy. Jednostajny szum ludzkich kroków przerywał z rzadka płacz dziecka, jakieś nawoływania. Kilka razy usłyszała klakson, ale samochodów prawie się nie widziało. Tym bardziej zdziwił ją widok stojącego na poboczu auta. Podeszła i przystanęła. Ktoś wychylił się i przywołał ją gestem. Jechali w kierunku Warszawy. Wewnątrz było jeszcze jedno miejsce. Zgodziła się zapłacić, ile zażądali. Samochód próbował wtoczyć się na szosę, ale bez skutku. Poboczem zjechali na leśną drogę. Przestraszyła się. Nie znała tych ludzi, nie wiedziała, co właściwie zamierzają. Jednak zaryzykowała. Wciąż był jeszcze ranek. Słońce prześwitywało przez poranne mgły. Pachniały sosny i zdawało się, że świat nadal jest taki jak zawsze.

Niewiele dowiedziała się od pasażerów samochodu. Słyszeli to, co i ona. Nic pewnego. Zrozumiała tylko, że zatrzymają się w Wawrze. Dalej będzie musiała sobie radzić sama. Kierowca najwyraźniej znał drogę i wreszcie wyjechali na puste pola. Widoczna z oddali szosa poruszała się, jakby była żywą istotą. Na wozach ułożono wysoko pierzyny, poduszki, kosze. Zdawało jej się, jakby ten widok widziała już kiedyś we śnie. Na skrzyżowaniu samochód utknął. Pola wyskoczyła, ktoś podał jej plecak. Do granic Warszawy było jeszcze przeszło dziesięć kilometrów. Ruszyła przed siebie. Teraz przy drodze widziała już nie tylko wywrócone wozy, porzucone, z braku benzyny, samochody, ale też martwe konie. Mijała domy z zerwanymi dachami, na wpół zapadłe, spalone stodoły. Brak deszczu i świecące nieprzerwanie od wielu dni słońce wysuszyły pola i zieleń podmiejskich ogródków, pożółkłe chwasty zbierały kłęby kurzu z opustoszałych dróg. Kierowała się w stronę Grochowa. Już dawno minęło południe, kiedy znalazła się na przedmieściu. W zwartym pochodzie uciekających potworzyły się luki. Widziała oddział żołnierzy bez szyku wojskowego. Stojący wzdłuż drogi ludzie podawali im w wiadrach wodę. Żołnierze przystawali na krótko, pili, brali chleb i szli dalej. Ustępowano im z drogi. Jej butelka była pusta. Postanowiła ją napełnić. Spytała o studnię. Ktoś wyjaśnił, że jedyna czynna jest daleko stąd i czeka się do niej w długiej kolejce. Nie zatrzymywała się już, choć poczuła nagle silne zmęczenie. Zbliżała się do alei Waszyngtona. Uliczne barykady tamowały ruch. Szeroka ulica została niedawno rozkopana. Zaczęto kłaść na niej tory tramwajowe. Pomyślane jako udogodnienie dla warszawiaków, stały się teraz przeszkodą w ucieczce. Rozglądała się wokół i nie poznawała tych miejsc. Co chwila podrywały się jakieś płachty papieru, szeleszcząc po chodnikach.

Szpule drutu, porzucone na jezdni, zaczepiały o nogi idących. Wystawy sklepów zabite były deskami. Kawałki szkła chrzęściły pod butami.

Poczuła, że nie da rady iść dalej. Napięcie, niepewność i strach zrobiły swoje. Plecak ciążył, chciało jej się pić. Przysiadła pod nagrzaną popołudniowym słońcem ścianą jakiegoś domu. Mały pies z zakrwawioną sierścią przebiegł obok, unosząc wysoko zranioną łapę. Inny, większy, kudłaty zatrzymał się przy niej, jakby sprawdzał, czy jest jego panią. Odezwała się do niego, wyciągnęła rękę z kawałkiem chleba. Nie ruszył go, tylko popatrzył jej w oczy z wyrazem nieomal ludzkiego smutku i pobiegł dalej. Starszy mężczyzna zatrzymał się i spytał, czy jest ranna. Nie miała siły odpowiedzieć. Pokręciła tylko głową. Nie pamiętała, jak długo tkwiła pod ścianą cudzego domu. Być może zasnęła na chwilę. Wreszcie podniosła się. Miasto grało jak ogromny ul, w którym ani na chwilę nie ustaje ruch. Kiedy wreszcie dotarła do mostu Poniatowskiego, zrozumiała, że nie starczy jej sił na przejście go. Zrozpaczona patrzyła na most rozkołysany rytmem tysięcy stóp. Nagle przypomniała sobie, że niedaleko stąd mieszka jej szkolna koleżanka, którą kiedyś odwiedziła kilka razy. Weszła między domki

otoczone niewielkimi ogródkami. Zapadał zmierzch. Łuna od strony śródmieścia rozświetlała niebo. Odnalazła dom. W oknach było ciemno. Długo nikt nie otwierał furtki. Wreszcie z domu wyrzwał stary mężczyzna. Spytała o koleżankę. Powiedział, że wszyscy już wyjechali, i chciał zamknąć drzwi, ale zaczęła prosić, żeby ją wpuścił. Udało się i po chwili znalazła się wewnątrz. Mężczyzna był kimś w rodzaju stróża. Został, żeby pilnować domu. Okazał się przyjazny i rozmowny. Siedziała przy kuchennym stole i słuchała jego chaotycznej opowieści o kilku minionych dniach. Podobno polscy lotnicy bombardowali Berlin. Niemcy rzucali propagandowe ulotki. Francja wypowiedziała Niemcom wojnę, ale nie przysłała żadnej pomocy. Pola opowiadała o swojej wędrownicy pod prąd. O tysiącach uciekających, których mijala.

– Ja bym powiesił tych, co zarządzili ewakuację. O jednej godzinie, jedną szosą!

Była tak zmęczona, że nie słuchała dłużej. Na wpół przytomna położyła się na łóżku koleżanki i zasnęła. Obudził ją huk wstrząsający ścianami i łóżkiem. W ciągu sekundy przypomniała sobie wszystko. Wojna! Zerwała się, nie zwracając uwagi na wymięte ubranie, w którym przespała noc. Z plecakiem na ramionach weszła do kuchni. Mężczyzna stał w drzwiach. Prosił, żeby została, bo na ulicach jest niebezpiecznie, ale niepokój gnał ją naprzód. Wypiła tylko kubek kawy z mlekiem, który jej podał. Podziękowała i wybiegła.

Na ulicach było mniej ludzi niż poprzedniego dnia. Szli nadal, ale nie była to już tamta zwarta fala. Kiedy wchodziła na most, dwa niemieckie samoloty krążące nad Wisłą zniżyły lot. Krzyk, gwałtowny ruch próbujących uciekać, spadające bomby. Widziała to jak przez sen, sparaliżowana. Nic nie mogła zrobić. Nagła cisza, i pociski wpadły do rzeki, unosząc w górę pióropusze wody. Samoloty odleciały.

Po dłuższym oczekiwaniu, kiedy w powietrzu wciąż trwała błogosławiona cisza, wraz z innymi weszła na most. Poraniony, z połamanymi latarniami, ale był. Ludzie szli w wielkim porządku, przy dziurach wyrwanych przez niemieckie granaty stali policjanci i wskazywali bezpieczne przejście. Miasto wyłaniało się z porannej mgły i dymów, pozornie nienaruszone, tylko brudnoczerwone łuny pożarów kazały domyślać się strasznej prawdy.

Im bliżej domu, tym więcej widziała zniszczeń. Szła Nowym Światem, próbując omijać zwaliska gruzu, tynku, słomy, nadpalonych desek. W boczne uliczki nie dało się wejść. Nagle zawyły syreny i ludzie zaczęli uciekać. Nie bardzo wiedziała, co robić. Ktoś ją potrącił, ktoś popchnął i krzyknął: „Niech się pani schowa!”. Zaczęła biec. W wysokich podcieniach Pałacu Staszica zobaczyła kryjących się ludzi. Stanęła za masywnym filarem, gdzie na składanym krzeselku siedziała stara kobieta. Sprzedawała jajka w spękanych, brązowych skorupkach. Widząc zdziwione spojrzenie Poli, powiedziała: „Wyciągnęłam z pożaru. Miały się zmarnować?”.

Odgłosy miasta docierały do niej ze zdwojoną siłą. Nigdy przedtem nie słyszała takich dźwięków; rozdzieranie jedwabiu, kocie miauczenie, przybijanie gwoździ. „Co się tu dzieje?”, spytała głośno. „To nasi. Ostrzał artyleryjski. Stoją na placach i skwerach”, odpowiedział mężczyzna obok.

Nagle wszystko ucichło. W tej strasznej ciszy słyszała łomotanie własnego serca. Nadlatywały niemieckie bombowce. Zbliżały się już, ale nie bardzo wiedziała, z której strony. Przez plac, obok pomnika Kopernika, kroczył wyprostowany generał w galowym mundurze, widziała nawet order na jego piersi. Bohater albo szalony, pomyślała. Ledwie przeszedł, huknęło potężnie. Wybuch zerwał część dachu kamienicy przy Krakowskim Przedmieściu. Kawał ściany, jakby uchwycony pazurami potwora, zawisł nad ulicą. Zerwane wraz z balkonem czerwone kwiaty pelargonii rozprysły się po chodniku jak krople krwi. Ktoś obok płakał spazmatycznie. Jeźdźnię przejechał odkryty samochód. Jacyś ludzie wychylali się z niego i coś krzyczeli. Była odurzona. Czuła, jakby jej w uszy wciśnięto gęste kłęby waty. Kiedy się ocknęła, wokół niej zrobiło się pusto.

Idąc Świętokrzyską, zaczęła znów z lękiem myśleć, co zastanie w domu. Czy dom

jeszcze stoi? Czy rodzice żyją? Zaciskała pięści, mamrotała jakieś zaklęcia, modliła się. Widząc ulicę, znaną od dzieciństwa, uspokoiła się. Nogi same ją niosły, coraz bliżej, coraz bliżej. Minęła budynek Prudentialu. Widziała już z daleka gmach PAST-y. Domy na Próżnej stały. Próbowwała przyspieszyć, ale plecak ciążył i hamował ruchy. Mimo to wbiegła na schody. Drzwi do mieszkania były otwarte. Pchnęła je i weszła do środka. W głębi pokoju zobaczyła wszystkich razem siedzących przy stole.

* * *

Jeszcze tak niedawno, zaledwie kilka miesięcy temu, potrafiła spędzić cały dzień w łóżku, rozpamiętując swoje małe klęski. Zdarzały jej się chwile szarpiącego niepokoju. Myślała wtedy o czymś szalonym: o ucieczce, o samobójstwie. Potrafiła przegadać całą noc z nieznajomym albo wsiąść do pociągu i jechać dokądkolwiek, żeby zatrzymać się na jakiejś beznadziejnej stacji. Potem szła przez pola, przez las, wzdłuż strumienia i dopiero, pochylona nad wodą, budziła się z otępienia. Taka chwila była jak zejście z płaskowyżu parnej nocy w chłodną dolinę. I znów świat odzyskiwał kolory.

Albo jej romanse. Wciąż nowe ekscytacje, erotyczne fantazje, sceny, które chciałaby przeżyć, wyrafinowane gesty i pieszczoty. Kiedy się urzeczywistniały, przynosiły smutek i rozczarowanie. Życie wydawało jej się zbyt blade wobec marzenia. Czego chciała od tych mężczyzn, którzy tak ochoczo odpowiadali na jej zachętę, a potem znikali lub – gorzej – zostawiali i nie dawali jej spokoju? Szukała romantycznych przeżyć czy miłości?

Często chwyciła mężczyzn na tym, że przyglądają jej się z zaciekawieniem, pożądliwie albo nieufnie. Ona sama patrzyła na nich zwykle jak na potencjalnych erotycznych partnerów. Niecierpliwość, ciągły niepokój nie pozwalały jej zatrzymać się i zobaczyć w nich tego, co mogli jej dać. Ciekawość zmuszała ją do ciągłych zmian. Po każdej takiej przygodzie czuła się jak pole spustoszone przez burzę. To nie ich wina, mówiła sobie, to wina mojej chorej duszy. W wieku dwudziestu pięciu lat czuła się już kobietą nieomal zużytą. A przecież w głębi serca pragnęła jednego: mieć kogoś tylko dla siebie i oddać mu się na zawsze.

Od roku miała wreszcie stałego kochanka. Nie myślała o sobie jako o jego narzeczonej, choć był kawalerem i wiedziała, że traktował rzecz poważnie. Niedawno zaczął pracować w fabryce chemicznej jako inżynier i przepowiadano mu świetną karierę. Cieszyła się ze względu na niego, ale nadal pozostała obojętna na jego nieśmiałe aluzje do wspólnego życia. Zdawał jej się zbyt młody, a może raczej niedojrzały. Swojego pożądanego nie nazywała miłością. Marek był dobrym kochankiem i nie potrafiła zrezygnować z miłosnych spotkań z nim. Trochę nawet uzależniła się od tego rytmu: głodu, podniecenia, zaspokojenia; lubiła też odpoczywać wtulona w jego ramiona. Był dla niej dobry i kiedy któregoś razu, kilka tygodni wcześniej, leżąc na jego piersi po miłosnych zmaganiach, nagle wyobraziła sobie Steina, przestraszyła się. Niefortunna wizja pojawiła się także następnym razem i Pola była rada, że wkrótce zaczną się wakacje, a ona wyjedzie z Warszawy do Otwocka, gdzie spotka Steina.

Marek martwił się ich chwilowym, jak sądził, rozstaniem. Do Otwocka mógł przyjeżdżać bardzo rzadko, a ponieważ nie był oficjalnym narzeczoną, nie bardzo wiadomo, w jakim charakterze miałyby się pojawiać w domu rodziców Poli. Ona zaś mogła go odwiedzać w jego niewielkim mieszkanku na Miodowej, ale wyjeżdżając, zapowiedziała, że nieprędka się to zdarzy. Jego listy ściagały ją w Otwocku, jednak odpowiadała niechętnie i z przymusem. List dopominał się wprost czułych słów i gorących zapewnień, a tego nie potrafiła z siebie wykrzesać.

Czego ja właściwie chcę? – zniecierpliwiona pytała samą siebie. Nie nowe doznania, nie miłości, nie miłość nawet, ale twórcze spełnienie mogło ją uszczęśliwić. Myślała o pisaniu, o głosach tajemniczo brzmiących w ciszy. „Słowa powinny podkreślać ciszę”,

powiedziała któregoś razu do kogoś i nagle wydało jej się to kluczem do tajemnicy. Jak na japońskiej rycinie, przed którą stała długo, nie mogąc oderwać wzroku od gałązki jabłoni w rogu na samym dole – tak delikatnej, nieśmiałej, lecz wcale nie samotnej na tle bieli. „Chciałabym umieć namalować kilka słów na milczącym tle – powiedziała. – Czy wtedy nie zabrzmiałyby tak czysto jak srebrne dzwoneczki z bajki?”

Tak było zaledwie kilka tygodni temu. Tego lata w Otwocku, kiedy zbliżyła się do Steina, kiedy poznała Chawę Muszkę i kiedy świat wokół stawał się coraz bardziej niespokojny, zaczęła się zmieniać. Czuła to w swoim ciele, które nabrało więcej wigoru i które coraz rzadziej przysparzało jej tych wszystkich nieprzyjemnych kłopotów, takich jak bóle głowy, brzucha, mrowienie w koniuszkach palców, bezsenność. Stojąc któregoś dnia przy płocie oddzielającym ich ogród od domu chasydów, mówiła do Muszki:

– Mój prawy kciuk jest za mało dynamiczny, a linia losu powoli zaczyna się cofać przed linią życia zawodowego. W tym, co mnie otacza, panuje bałagan. – Trzymała dłoń wnętrzem do góry, tak żeby Muszka mogła widzieć, o czym mówi. – A popatrz tu, ta niewielka linia – dotknęła swojej dłoni – wskazuje na silne przywiązanie do życia. Podobno to właśnie jest dla mnie najbardziej charakterystyczne. Nigdy bym nie przypuszczała.

Chawa spoglądała niepewnie.

– Nam nie wolno przepowiadać przyszłości, a takie spekulacje też chyba są zabronione – powiedziała, jednak nie odwróciła wzroku i słuchała dalej.

– Szkoda. Chciałabym, żebyś poznała Steina. On tak pięknie czyta z ręki. Mogłabyś wiele się dowiedzieć o sobie.

– Przecież nie muszę pytać o to obcego mężczyzny, zawsze mogę zapytać mojego Boga.

– Tak, oczywiście – powiedziała pośpiesznie, chcąc zatuszować niezręczność. Wiedziała już, że z nową przyjaciółką nie o wszystkim można mówić tak swobodnie jak z innymi.

– Powiedziałaś, że w twoim życiu panuje bałagan – odezwała się Muszka. – Jak to możliwe? Masz ojca, matkę, masz brata. Wkrótce pewnie poślubisz mężczyznę, którego ci wybiorą... Chyba że u was jest inaczej... – zawahała się.

Pola uśmiechnęła się w duchu. Muszka wydała jej się taka naiwna. I przypomniała sobie rozmowę ze Steinem. Powiedziała mu wtedy:

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI